



Teatr i wokół teatru

Co możliwe, co niemożliwe

Jak już informowaliśmy — od listopada dyrektkę i kierownictwo artystyczne Lubuskiego Teatru im. Leona Kruczkowskiego w Zielonej Górze objęła pani **KRYSTYNA MEISSNER**. Po studiach polonistycznych ukończyła Wydział Reżyserii PWST w Warszawie (prof. Bohdan Korzeniewski). Przez dłuższy czas związana z warszawskim Teatrem Polskim, Reżyserowała m. in. w Białymstoku, Bydgoszczy, Toruniu, a także w Operze Poznańskiej i Teatrze Wielkim oraz Teatrze TVP. Za reżyserię „Pluskwy” na scenie elbląskiej otrzymała w tym roku nagrodę na toruńskim Festiwalu Teatrów Polski Północnej. To taki skrócony biogram.

A oto fragmenty rozmowy z panią dyr. Krystyną Meissner o planach związanych ze sceną zielonogorską i o teatrze w ogóle.

— **Co — zdaniem pani — jest możliwe, a co niemożliwe w teatrze zielonogorskim?**

K. MEISSNER: — Właściwie nic nie jest możliwe... I dlatego, że nic nie jest możliwe, rozpoczynamy od bardzo wielu rzeczy naraz. Chyba potrzeba do tego dużo cierpliwości. Najważniejszą sprawą będzie to, co będzie się działo na scenie. Moim obowiązkiem, jak ja to rozumiem, jest zaatakowanie opinii publicznej tym, że w ogóle coś się dzieje w teatrze. Oczywiście, nie możemy sobie obiecywać, że będzie się działo coś wspaniałego, bo zastałam teatr w głębokim kryzysie. Nie mniej repertuar jest tak ustawiony, zwłaszcza na dużej scenie, aby w jakiś sposób sprawdzić i rozwinąć możliwości aktorskie zespołu, który został stworzony. Zaczynamy właściwie od rzeczy prostych (Jerzy Żurek „Sto rąk, sto sztyletów”), bo tam zadania aktorzy realizują przez siebie, takimi jakimi są, co nie znaczy, że to nie jest trudne. Ale do aktorstwa tzw. kreacyjne go wchodzimy stopniowo, po wolutku. Następna rzecz (Brecht „Pan Puntila i jego sługa Matti”) wymaga już pewnych kreacji postaci, powiemy — rysowanych grubymi rysami. Zaś w „Śnie nocy letniej” są już duże zadania metamorfozy aktorskiej. A „Mandat”, jak każda farsa, wymaga dużej sprawności, którą, mam nadzieję, uzyskamy poprzez owe trzy pierwsze realizacje.

— **Rozumiem to tak, że teraz dla pani najważniejszym zadaniem jest przede wszystkim praca z zespołem aktorskim nad jakąkolwiek artykulacją.**

K. MEISSNER: — Tak, proszę pana, bo ta sprawa jest w ogóle zaniedbana w polskim teatrze. Zwłaszcza w terenie. Tak patrząc po Polsce, widzę, że zespoły zostały zruj-

nowane. Zrujnowane od strony warsztatu. Nie wiadomo teraz od czego zacząć. Zespoły są bardzo nierówne. Są między nimi znakomici aktorzy, którzy nie mieli okazji się sprawdzić, którzy byli w tzw. przestoju, kiedy się powielali. Im trzeba dać szansę, zwrócić na nich uwagę. Oni zresztą sami odczuwają brak opieki, potrzebę wyprawienia dalej, potrzebę pomocy w szukaniu siebie. Jest to jedno z najważniejszych moich zadań — właśnie tutaj stworzyć — jeśli tylko się da — jak najdoskonalszy zespół aktorski. Ale coś takiego rodzi się bardzo wolno. Za bierze nam to miesiące, nawet lata.

— **Do tego dochodzi jeden ważny czynnik. Owi aktorzy, których pani tu zastała, są również zmęczeni nijakością dotychczasową tego teatru, jak tym zmęczona jest publiczność zielonogorska.**

K. MEISSNER: — Bardzo są zmęczeni. Z tym, że trzeba pamiętać, iż aktor rozwija się na repertuarze. To znaczy — kiedy mu się daje role, które go rozwijają, jeśli wtedy uzyskuje od publiczności jakąkolwiek akceptację, ma bodziec do następnej roboty. Tu tego bodźca nie było. Po obu stronach — tak jak zastałam ten teatr — istnieje rozgoryczenie. Z tego stanu trzeba wyciągnąć i mia sto, i teatr.

— **Podważam opory po jednej i po drugiej stronie. Mniej mam tytułów do mówienia o aktorach, ale o mieście to ja nie mam najlepszego zdania. W niedawnych dyskusjach w środowisku tworzymy na temat stanu kultury domagaliśmy się dokładnego przebadania stanu świadomości kulturalnej, stanu potrzeb. Bez tych badań — mówię to tylko i tylko we własnym imieniu — wiem, że te potrzeby nie są za bogate...**

K. MEISSNER: — Jeśli stanie się tu teatr, do którego ludzie będą chcieli przystąpić, to będziemy ten dialog poszerzać, potrzeby bogacić.

— **Od lat, od kiedy mniej lub więcej regularnie pisuję o teatrach zielonogorskim i gorzowskim, opętany jestem jedną myślą, że teatr to nie tylko instytucja usługowa z dyrektorem, aktorami, księgością, lecz przede wszystkim pewna idea, wokół której łączy się grupa ludzi, idea, której podporządkowują wszystko, nawet życie pozateatralne.**

K. MEISSNER: — Wygodnie jest mówić o tym z pozycji krytyka. Ale spojrzmy na to z pozycji reżysera, a potem dyrektora. Z pozycji reżysera... My reżyserzy bez przerwy poszukujemy na własnej drodze. I to nigdy się nie kończy. Każda następna rzecz jest szukaniem czegoś nowego, niezgodą na to, co było. Szukaniem — o czym się mówi i jak się mówi. Dlatego bardzo trudno się określić. Trudno określić tę ideę. Szukamy tematu, szukamy języka. Łączymy się z tym, co ja nazywam „pasmem nadawania”, to znaczy — szukam rzeczy, które żyją między nami, które trudno określić, a które trzeba nadać tak szeroko kim pasmem, żeby dotarły i do człowieka bez potrzeb dywagacji intelektualnych, i do kogoś bardziej wyrobionego. A z punktu widzenia dyrektora... Wiem, że obejmując tę instytucję, nie prowadzę tylko własnej działalności, lecz będę odpowiedzialna za wszystko, co się wydarzy na tej scenie. W związku z tym na pewno dobierając sobie reżyserów, scenografów, aktorów, będę dobierała ludzi, którzy mniej więcej podobnie myślą. Ale to nie znaczy wcale, że ten teatr stanie się teatrem jednej formy i jednej myśli. Nie. Wprost przeciwnie. Moim obowiązkiem jest nawet szukanie ludzi, z którymi dogaduję się na temat pewnego spojrzenia na świat, ale patrzmy na niego różnymi mi oczyma. Musimy dać miastu teatr o szerokim przekroju różnych widzeń artystycznych tego świata. Dopiero wtedy wykształci się pewna wspólna idea. Ale na to trzeba kilku lat.

— **Więc na co możemy liczyć na przykład już w przyszłym sezonie?**

K. MEISSNER: — Przypuszczam, że ten sezon do końca będzie okresem wyboru, to znaczy — pewnych sprawozdań i publiczności, i składu osobowego współpracowników, realizatorów, także aktorów. I wtedy już możemy pójść pełną parą w przysz-

łym sezonie. Rozmawiałam z różnymi reżyserami. Nie narzucam im pozycji, aczkolwiek wskazuję im rzeczy, które mnie interesują pod względem artystycznym, tematycznym. W tym dość szerokim polu zainteresowań próbujemy się dogadywać. Powinien ten przyszły sezon być ambitniejszy. Bo przekleństwem małych miast jest to, iż oferuje się tu ludziom rozmaite rzeczy, ale marginesowe w stosunku do wielkiego repertuaru.

— **Proszę pani, ja naprawdę wierzę, że ważne sprawy można robić nie tylko w tych ważnych, uznanych teatrach. Wierzę, że w każdym, niewielkim nawet, teatrze, z nie wielkim i nierównym zespołem, mogą powstać rzeczy ważne, znaczące, w sposób prawdziwy otwierające ludziom oczy na świat, na mechanizmy, które tymi ludźmi rządzą i na mechanizmy, które sami ludzie uruchamiają. To wszystko może zaistnieć nie tylko na Marszałkowskiej.**

K. MEISSNER: — Takie możliwości widzę, kiedy następuje porozumienie z aktorami. Uważam, że kiedy aktor poczuje, iż w akcie tworzenia jest potrzebny, że jego rola jest niezbędna, kiedy jest świadom wagi tematu (bo zdarza się, że aktor gra w jakimś spektaklu, ale nie wie po co), to takie ważne wydarzenie może mieć miejsce wszędzie. To wszystko na prawdę zależy od porozumienia między ludźmi, od ich wspólnych poszukiwań. Od kreacji, a nie chęci popisywania się.

— **I na koniec pytanie, które musi paść: jakie warunki powinna spełnić władza mecenasująca dzisiejszym pani poczynaniom? Powiedzmy to głośno, aby można było np. za rok sprawdzić, jak się wywiązała z tego. Poprzednie dyrekcje stałe walczyły o to, co już dawno miały przyobiecane...**

K. MEISSNER: — Wie pan, trudno mi o tym mówić, bo ja zaczynam i władze właściwie do wszystkiego, co zgłosiłam, zobowiązywać się! Ogólnie rzecz biorąc — chcielibyśmy tolerancji, zrozumienia, cierpliwości. Zrozumienia, że teatr powołany jest naprawdę do szerzenia kultury i sztuki wyższego rzędu.

— **Dziękuję i życzę powodzenia. Jestem w tym powołaniu bardzo zainteresowana. Jako widz, oczywiście.**

Rozmawiał: JAN J. DĘBEK